

Szczepan mieszkał w małej wsi na końcu górskiej doliny. Do najbliższego miasta było około dwadzieścia kilometrów, do przystanku autobusowego ponad godzinę marszu, a wyboista droga i marna linia energetyczna kończyły się przy ostatniej chałupie. Była to właśnie jego chałupa, w której mieszkał z matką. Utrzymywał się trochę z rolnictwa, trochę z pracy w lesie, a trochę z niczego. Był koło czterdziestki, niewysoki, ale pleczysty, miał przerzedzające się blond włosy i wodnistoniebieskie oczy. Dłonie miał wielkie jak bochenki chleba i skórę na nich też jak na starym bochenku – twardą i popękaną. Były one często poobijane lub pobandażowane, bo Szczepanowi ciągle zdarzały się różne drobne wypadki. A to się skaleczył siekierą, a to mu pustak spadł na palec lub drzazga wbiła pod paznokieć. Rany te, nigdy niewidziane przez lekarza, goiły się same, pozostawiając brzydkie blizny.

Gdy nie miał nic do roboty, to wychodził na skraj drogi i stał tam godzinami, patrząc na świat, w którym nic się nie działo. Gdyby mieszkał na początku wsi, widziałby więcej, bo tam była droga prowadząca do przystanku autobusowego i dalej. Wiedziałyby, kto i o której godzinie wybrał się do miasta lub do kogo listonosz przywiózł list. Koło jego domu tylko sąsiedzi przeganiali krowy na pastwiska lub przejeżdżali starymi traktorami do pracy w lesie. Szczepan zagadywał ich wszystkich, a oni chętnie zatrzymywali się, gawędzili z nim i przekazywali mu wieści z początku wsi. Były to wiadomości nieco spóźnione, ale i tak pozwalały mu być na bieżąco.

Czasami jednak i do niego uśmiechało się szczęście i spotykał ludzi z szerokiego świata. Koło jego domu prowadził bowiem szlak turystyczny i od czasu do czasu ktoś nim przechodził. Wtedy Szczepan pozdrawiał turystę i pytał, skąd i dokąd idzie. Jeśli ten dał się zagadnąć i przystanął, to wtedy Szczepan pytał go o imię i podawał mu wszystkie możliwe daty jego imienin. Potem pytał o datę urodzin i mówił, jaki to był dzień tygodnia. Niestety nie radził sobie z nowomodnymi imionami typu Dżesika lub Liliana i wtedy mówił, że „nie ma takich świętych”.

Dzięki temu kalendarzowi, który miał w głowie, w okolicy znali go chyba wszyscy, a nawet przechodzący tamtędy nowi turyści nie wiadomo skąd wiedzieli, jak ma na imię.

– Cześć Szczepan! – mówili do niego, a on witał się z nimi jak ze starymi znajomymi i, niejako w promocji, dorzucał jakąś aktualną wiadomość z życia okolicy. W ten sposób turyści dowiadywali się, że rano przebiegł wtedy jakiś nieznany Szczepanowi pies lub że wczoraj w sąsiedniej wsi przywieziono cegłę na budowę do jakiegoś Mietka albo też, że sąsiad znalazł borowika o wadze dwóch kilogramów.

Szczepan miał jeszcze jedną cechę, która go wyróżniała. Większość wypowiedzi zaczynał od „a” i to było zaraźliwe, bo jego rozmówcy też zaraz zaczynali tak mówić.

Ubierał się jak wszyscy w jego wsi, ale na nogach zawsze miał gumowce. Na co dzień były one czarne, a na niedzielę lub wyjazdy do miasta – zielone. Na takie uroczyste występy miał garnitur – sprany, ale też zielony. Zimą gumowce zamieniał na gumofilce, a te niedzielne oczywiście były zielone. Podobno kupił je na Słowacji, bo w Polsce zielonych nie było. Widocznie uważał, że w zielonym wyglądał elegancko. Wyjściowy ekwipunek uzupełniała skórzana teczka z dwoma metalowymi zatraskami i paskiem przez środek.

Mnie ze Szczepanem zapoznał znajomy prowadzący pensjonat w sąsiedniej wsi i zaraz dowiedziałem się, że urodziłem się w piątek, a imieniny mam aż osiem razy w roku.

Kolejny raz spotkałem go chyba po kwartale niewidzenia, kiedy stał przed dworcem autobusowym.

– A cześć Szczepan! – zagadnąłem. – Co nowego?

Przywitał mnie z imienia jak starego znajomego i zaraz dodał, że rano w jego wsi była straszna mgła. Informacja o mgle mnie nie zaskoczyła, bo był to typowy Szczepanowy nius, ale zdziwiło mnie to, że pamiętał moje imię. Z czasem dowiedziałem się, że pamiętał imiona wszystkich, z którymi zamienił choćby kilka zdań.

Szczepan „operował” w promieniu kilkunastu kilometrów od swojej wioski i czasem wydawało się, że na tym terenie był wszędzie jednocześnie. Jednego dnia stał na drodze przed swoim domem, drugiego

pracował na budowie w trzeciej dolinie, a na trzeci dzień widziano go w wiejskim barze zupełnie gdzie indziej. Ponieważ nie miał żadnego pojazdu, a komunikacja publiczna była marna, dlatego trudno było pojąć, w jaki sposób się przemieszczał. Robił to jednak, bo wszyscy chętnie go podwozili, a i przejście dziesięciu kilometrów na skrót przez góry, nie było dla niego problemem.

Okoliczne góry i lasy znał jak własną kieszeń i, podobno, był strażnikiem łowieckim. Nie wiem, czy to prawda, ale raz spotkałem go w lesie niosącego jakieś druty.

– A to wnyki, co pozbierałem po lesie – odpowiedział zapytany o nie.

Nie dopytywałem dalej, chociaż nie dałbym głowy za to, czy były to wnyki zdjęte, czy przeznaczone do zastawienia.

Spotykałem Szczepana wiele razy w górach, w wiejskich barach lub na przystankach autobusowych. Kilka razy go podwoziłem. Zamienialiśmy zawsze kilka zdań i to było wszystko.

Któregoś lata, wracając z grzybobrania, spotkałem go na skrzyżowaniu leśnych dróg. Wyglądał źle. Był jakby chudszy i poszarzały. Przy powitaniu zauważyłem, że ma obandażowane lewe przedramię. Wiedziałem, że często przy pracy ranił sobie niegroźnie ręce, więc zapytałem żartobliwie:

– Gdzie znowu wsadziłeś łapę?

– A nigdzie. Przysiadłem w lesie na pieńku i użarła mnie miedzianka.

– A byłeś u lekarza? Dali ci zastrzyk?

– A po co? Samo się zagoi.

Szczepan odsunął nieco bandaż i dodał:

– Patrz, to tylko trochę poczerwieniało. Przejdzie.

Nieco powyżej nadgarstka zobaczyłem dużą plamę. Była nienaturalnie niebieskawoczerwona.

– Ty nie rób sobie jaj! – powiedziałem. – Z tym trzeba do lekarza. Mam tu na dole auto, to cię zaraz zawiozę na pogotowie.

– Nie trzeba – odparł. – I tak pojutrze mam jechać do miasta, to może pójde do jakiegoś doktora.

Zanim zdążyłem zaprotestować, pożegnał się i ruszył w swoją stronę.

Wychodząc z lasu, zastanawiałem się, czy nie zadzwonić na pogotowie. Ale co mógłbym powiedzieć? Że spotkałem w lesie faceta ugryzionego przez żmiję, który nie chciał pomocy i gdzieś sobie poszedł?

Po około pół roku odwiedziłem pensjonat prowadzony przez znajomego, który zapoznał mnie ze Szczepanem. Porozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, a potem zapytałem o Szczepana.

– To ty nic nie wiesz? On nie żyje – usłyszałem w odpowiedzi. – Żmija ugryzła go w rękę, a on, tak jak zawsze, nie poszedł do lekarza, tylko zabandażował miejsce ugryzienia. Dopiero jak rana zaczęła gnąć to poszedł do przychodni. Doktorzy powiedzieli, że rękę trzeba uciąć, ale się nie zgodził. Męczył się jeszcze jakiś czas, aż matka uprosiła go, żeby jednak zgodził się na amputację. Nie wybudził się z narkozy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Marian, dodano 02.07.2019 16:02

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).